

Ultima Thule



STEFAN GRABIŃSKI

DEMON RUCHU

Ultima Thule¹

Lat temu już dziesięć. Zdarzenie przybrało już kształty rozwiewne, niemal senne — zasnęło się błękitną mgłą rzeczy minionych. Dziś wygląda jak wizja lub jak szalone marzenie; a jednak wiem, że wszystko do najdrobniejszych szczegółów było naprawdę tak, jak pamiętam. Od owej chwili wiele zająć przesunęło się przed moimi oczyma, dużo przeżyłem i niejeden cios spadł na osiwiąłą mą głowę — lecz wspomnienie wypadku pozostało nie zmienione, obraz dziwnej chwili wyrzeźbił się w duszy głęboko na zawsze; patyna czasu nie przyćmiła silnego rysunku, owszem, zda mi się, z lat ubiegim podkreśla cienie w sposób tajemniczy...

Byłem wtedy kierownikiem ruchu w Krępaczu, małej, śródgórskiej stacji niedaleko granicy; z mojego peronu widać było jak na dłoni wydłużony, szczerbaty łańcuch rubieży.

Krępacz był przedostatnim przystankiem na linii zmierzającej ku pograniczu; poza nim w odległości 50 km były jeszcze tylko Szczytniska, końcowa stacja kraju, w której stróżował czujny jak żuraw kresowy Kazimierz Joszt, kolega po zawodzie i przyjaciel.

On sam lubiał porównywać siebie z Charonem², a stację powierzoną swej pieczy przemianował antycznym trybem na Ultima Thule. Widziałem w tym dziwactwie nie tylko reminiscencje ze studiów klasycznych, gdyż racja obu nazw tkwiła głębiej, niżby się na pozór zdawało.

Okolice Szczytnisk była dziwnie piękna. Chociaż oddalona od mojego posterunku ledwo o trzy kwadransy drogi pociągiem osobowym, zdradzała zasadniczo odrębny i swój charakter, jakiego nie spotykało się nigdzie w tych stronach.

Małutki budynek stacyjny, przytulony do potężnej, granitowej ściany spadającej prostopadle w dół, przypominał jaskółcze gniazdo, przypięte do wnęki skalnej. Wokoło spiętrzone na 2000 m szczyty grały w półmroku przestrzeń, stację i magazyny. Posępny smutek zwiany z czoł olbrzymów owijał nieuchwytnym całunem kolejową przystań. W górze kłębiły się wieczne mgły i staczały w dół turbanami mokrych oparów. Na poziomie 1000 m, mniej więcej w połowie swej wysokości, tworzyła ściana gżems³ w kształcie olbrzymiej platformy, której wyżłobienie niby czarę wypełniało po brzegi modrosrebrzyste jezioro. Parę zaskórnych strumieni, zbratawszy się potajemnie w trzewiach góry, biło z jej boku tęczowym łukiem siklawy⁴.

Po lewej usłoń skały w zarzuconym na ramiona wiecznym zielonym płaszczu jodeł i limb, po prawej dzikie urwisko z kosodrzewiną, naprzeciw, niby słup kresowy, nieugięta grań wirchu. Nad nią przestrzeń nieba chmurna lub pod brzask z rumieniona zorzą porannego słońca — poza nią... świat inny, obcy, nieznan. Dzika, zamknięta ustron, groźną poezją szczytów owiana rubież...

Stację łączył z resztą przestrzeni długi, w skale wykuty tunel; gdyby nie on, izolacja zakątka byłaby zupełną.

Ruch kolejowy zabłąkany pomiędzy samotne turnie małał, słabł, wyczerpywał się. Nieliczne pociągi niby bolidy wytracone z ruchu centralnego wylaniały się rzadko z czełości tunelu i zajeżdżały przed peron cicho, bezgłośnie, jakby w obawie, by nie zmącić

Pamięć

¹Ultima Thule (łac.) — wg staroż. Greków wyspa położona na północ od Brytanii, uchodząca za kraniec świata, niekiedy identyfikowana z Islandią. [przypis edytorski]

²Charon (mit. gr.) — przewoźnik, przeważający dusze zmarłych do Hadesu. [przypis edytorski]

³gżems — dziś popr.: gżymś. [przypis edytorski]

⁴siklawy — górski wodospad. [przypis edytorski]

zadumy górskich geniuszy. Nikłe wibracje wniesione za ich przybyciem w śródgórskie zacisze tężały rychno i krzępły wylękle.

Po opróżnieniu wagonów maszyna szybowiała parę metrów poza peron i pociąg podjeżdżał pod sklepistą, w granitowej ścianie wykutą hałą. Tu stał długie godziny, wypatrząc mroki pieczary oczodołami pustych okien, w oczekiwaniu na zmianę. Gdy nadszedł upragniony towarzysz, opuszczał leniwo skalne schronisko i odchodził w świat życia, w ognisko mocno grających tętn. A tamten zajmował jego miejsce. I znów stacja zapadała w senne drzemanie spowite kwefem mgieł. Ciszę odludzia przerywał chyba skwir orląt po okolnych źlebach lub szmer staczających się w parowy piargów...

Lubiałem tę górską pustelnię ogromnie. Była dla mnie symbolem tajemniczych krańców, jakimś mistycznym pograniczem dwóch światów, jakby zawieszeniem między życiem a śmiercią.

W każdą wolną chwilę, powierzywszy Krępacz opiece mego asystenta, jeździłem drezyną w odwiedziny do Szczytnisk do kolegi Joszta. Przyjaźń naszą starą, bo zawartą jeszcze na szkolnej ławie, wzmocniła wspólność zawodu i bliskie sąsiedztwo. Zżyliśmy się z sobą bardzo i dzięki częstej wymianie myśli stopili w przedziwną jedność.

Joszt nigdy wizyt nie oddawał.

— Nie ruszę się już stąd ani krokiem — odpowiadał zwykle na moje wymówki — tutaj mi już zostać do końca. — Bo czyż nie pięknie? — dorzucał po chwili, obejmując zachwyconym spojrzeniem otoczenie.

Przyznawałem w milczeniu i wszystko wracało do dawnego porządku.

Niezwykłym człowiekiem był kolega Joszt, ze wszech miar dziwnym. Mimo swej iście gołębiej łagodności i bezprzykładnej dobroci nie cieszył się sympatią w okolicy. Górale zdawali się stronić od naczelnika stacji, z daleka schodząc mu z oczu. Przyczyna leżała w dziwacznej opinii, którą sobie o nim nie wiadomo jak ludzie urobili. Joszt uchodził wśród ludu za „widuna”⁵, i to w ujemnym tego słowa znaczeniu. Mówiono, że przewiduje u bliźnich „przywilej śmierci”, że niejako przeczuwa chłodny jej powiew na twarzach wybrańców.

Ile w tym było prawdy, nie wiem — w każdym razie zauważyłem w nim coś, co mogło zaniepokoić umysł wrażliwszy i skłonny do przesądów. Utkwił mi mianowicie w pamięci następujący dziwny zbieg okoliczności.

Był w Szczytniskach między funkcjonariuszami stacyjnymi zwrotniczy nazwiskiem Głodzik, pilny i sumienny pracownik. Joszt bardzo go lubiał, traktując nie jak podwładnego, lecz jak kolegę i towarzysza zawodu.

Pewnej niedzieli, zjechawszy jak zwykle w odwiedziny, zastałem Joszta w posępnym nastroju; był chmurny jakiś i ponury. Zapytany o powód, zbył mnie zrazu niczym i gwałtem nadrabiał miną. Wtem nawinął się Głodzik; coś tam meldował, prosił o dyspozycje. Naczelnik bąknął ni to, ni owo, popatrzył mu dziwnie w oczy i uściśnął jego szorstką, spracowaną rękę.

Zwrotniczy odszedł zdumiony zachowaniem się przełożonego, kręcąc z niedowierzaniem swoją dużą, kędzierzawą głową.

— Biedak! — szepnął Joszt, patrząc smutno za nim.

— Dlaczego? — zapytałem nie pojmując całej tej sceny.

Wtedy Joszt wytłumaczył.

— Miałem zły sen tej nocy — mówił unikając mego spojrzenia — bardzo zły sen.

— Ty wierzysz w sny?

— Niestety, ten, który śniłem dzisiaj, jest typowym i nigdy nie zawodzi. Widziałem dzisiejszej nocy starą, zapadłą rudere z powybijanymi szybami. Ile razy mi się wyśni ten przeklęty budynek, jest nieszczęście.

— Ale w jakim związku pozostaje to ze zwrotniczym?

— W jednym z pustych okien ujrzałem wyraźnie zarysowaną jego twarz. Wychylił się z tej czarnej nory i powiał ku mnie swą kraciatą chustą, którą zawsze nosi na szyi.

— I cóż stąd?

— To był gest pożegnalny. Ten człowiek wkrótce umrze — dziś, jutro, za lada chwilę.

— Sen — mara, Bóg — wiara — usiłowałem go uspokoić.

⁵widun (reg.) — człowiek przewidujący przyszłość. [przypis edytorski]

Joszt uśmiechnął się tylko z przymusem i zamilkł.

A jednak tegoż dnia wieczorem zginął Głodzik wskutek własnej pomyłki. Wprowadzona w błąd jego fałszywym sygnałem maszyna ucięła mu obie nogi; wyzionął ducha na miejscu.

Wypadek wstrząsnął mną do głębi i przez długi czas unikałem z Josztem rozmowy na ten temat. W końcu, może w rok potem, zagadnąłem raz niby od niechcenia:

— Od kiedy miewasz twe złowróźbne przeczucia? O ile pamiętam, nigdy dawniej nie okazywałeś podobnych właściwości.

— Masz słuszność — odparł niemile tknięty poruszoną kwestią — ta przeklęta właściwość rozwinęła się u mnie dopiero później.

— Wybacz, że cię nękam tą niemiłą sprawą, lecz rad bym znaleźć środek do wyzwolenia cię z fatalnego daru. — Kiedy zauważyłeś to u siebie po raz pierwszy?

— Mniej więcej przed ośmiu laty.

— Więc rok po twym przesiedleniu się w te strony?

— Tak, w rok po przeniesieniu mnie do Szczytnisk. Wtedy to, w grudniu, w samą Wigilię przeczulem śmierć Groceli, ówczesnego wójta. Historia stała się powszechnie znaną i w ciągu kilku dni zjednała mi złowieszczy przydomek „widuna”. Górale zaczęli uciekać przede mną jak przed puszczykiem.

— Dziwne. A jednak coś w tym tkwić musi. Zachodziłby tu zatem klasyczny przykład na tzw. „drugi wzrok” (*seconde vue*), o którym swego czasu nazywałem się dużo w księgach starej magii. Podobną właściwością obdarzeni być mają dość często górale szkoccy czy iryjscy.

— Tak — i ja studiowałem dzieje tego objawu z łatwym do zrozumienia zainteresowaniem. Zdaje mi się nawet, że znalazłem w ogólnych zarysach przyczynę. Twoja wzmianka o puszczykach szkockich bardzo trafna, tylko wymaga paru słów uzupełnienia. Oto zapomniawszy dodać, że ci zniechęceni przez otoczenie, niejednokrotnie wypędzani jak trędowaci poza obręb wsi nieszczęśliwcy zdradzają swe zgubne zdolności tylko tak długo, dopóki przebywają na wyspie; przeniesieni na kontynent tracą żalobny swój dar i niczym nie różnią się od przeciętnych osobników.

— To szczególne. To, co mówisz, świadczyłoby więc o tym, że to wybitnie psychiczne zjawisko przeciwieństwem jest od czynników natury chtonicznej⁶.

— Istotnie. Fenomen ten ma dużo w sobie składników tellurycznych⁷. Jesteśmy synami Ziemi i podlegamy jej potężnym wpływom nawet w dziedzinach oderwanych pozornie od jej podłoża.

— Czy objawy własnego jasnowidztwa wywodzisz z podobnych źródeł? — zapytałem po chwili wahania.

— Naturalnie. Wpływa na mnie otoczenie, pozostaję pod działaniem tutejszej atmosfery. Mój złowieszczy przymiot wynikał z nieubłaganą logiką z duszy tej okolicy. Żyję na pograniczu dwu światów.

— Ultima Thule! — szepnąłem schylając głowę.

— Ultima Thule! — powtórzył jak echo Joszt.

Umilkłem przejęty uczuciem lęku. Po czasie, otrząsnąwszy się z wrażenia, zapytałem:

— Dlaczego, zdając sobie tak jasno sprawę z wszystkiego, nie przeniosłeś się dotąd w inne strony?

— Nie mogę. W żaden sposób nie mogę. Czuję, że gdybym się stąd usunął, postąpiłbym wbrew swemu przeznaczeniu.

— Przesądny jesteś, Kazik.

— Nie, to nie jest przesąd. To przeznaczenie. Mam głębokie przekonanie, że tylko tutaj, na tym skrawku ziemi mam spełnić ważną jakąś misję; jaką — nie wiem jeszcze dokładnie — mam tylko słabe jej przeczucie...

Urwał, jakby zląkłszy się tego, co powiedział. Po chwili zwracając swe siwe, przeświecone blaskiem zachodu oczy na skalistą ścianę rubieży, dodał szeptem:

⁶chtoniczny (z gr.) — związany z ziemią bądź ze światem podziemnym. [przypis edytorski]

⁷telluryczny (z łac.) — związany z ziemią, pochodzący z ziemi. [przypis edytorski]

— Wiesz, nieraz zdaje mi się, że tu, z tą prostopadłą granicą kończy się świat widzialny, że tam, po drugiej stronie zaczyna się świat inny, nowy, jakies nie znane w ludzkim języku *mare tenebrarum*⁸.

Spuścił znużone purpurą szczytu oczy ku ziemi i zwrócił się w stronę przeciwną ku przestrzeni kolejowej.

— A tutaj — dorzucił — tutaj kończy się życie. Oto jego ostatni wysiłek, ostatnia, krańcowa odnoga. Tutaj wyczerpuje się jego twórczy rozmach. Przeto stoję tu jako strażnik życia i śmierci, jako powiernik tajemnic z tej i tamtej strony grobu.

Domawiając tych słów, spojrzął mi głęboko w twarz. — Był piękny w tej chwili. Natchnione spojrzenie zamysłonych oczu, oczu poety i mistyka, skupiło w sobie tyle ognia, że nie mogłem znieść ich promiennej mocy i pochylałem ze czcią głowę. Wtedy zadał mi końcowe pytanie:

— Czy wierzysz w życie po śmierci?

Podniosłem powoli głowę:

— Nic nie wiem. Ludzie mówią, że tyle jest dowodów za, co i przeciw. Rad bym uwierzyć.

— Umarli żyją — powiedział mocno Joszt.

Nastąpiło długie, wsłuchane w siebie milczenie.

Tymczasem słońce, zakreśliwszy łuk nad zębatym żłebem, skryło tarczę poza jego zrębem.

— Już późno — zauważył Joszt — i cienie wychodzą z gór. Musisz dziś wcześniej spocząć; zmęczyleś się jazdą.

I na tym zakończyliśmy pamiętną naszą rozmowę. Odtąd ani razu już nie mówiliśmy o rzeczach ostatecznych ani o groźnym darze drugiego wzroku. Wystrzegaliśmy się dyskusji na ten niebezpieczny temat, gdyż widocznie sprawiała mu przykrość.

Aż razu pewnego on sam przypomniał mi swe ponure zdolności.

Było to dziesięć lat temu, w środku lata, w lipcu. Daty tych zdarzeń pamiętam dokładnie — wraziły się w pamięć na zawsze.

Było to w środę, 13 lipca, w dzień świąteczny. Jak zwykle rano przyjechałem w odwiedziny; mieliśmy razem ruszyć ze strzelbami w sąsiedni parów, gdzie pojawiły się dziki. Zastałem Joszta w nastroju poważnym, skupionym. Mówił mało, jakby zajęty upartą myślą, strzelał źle, w roztargnieniu. Wieczorem na pożegnanie uściskał mię gorąco i podał zapieczętowany list w kopercie bez adresu.

— Słuchaj, Roman — mówił drżącym ze wzruszenia głosem. — Mają zająć w życiu moim ważne przemiany; być może będę zmuszony wyjechać stąd na czas dłuższy i zmienić miejsce pobytu. Jeśliby to rzeczywiście nastąpiło, otworzysz ten list i odeślesz pod adresem zawartym wewnątrz; sam nie będę mógł tego skutecznie z rozmaitych powodów, których obecnie nie wymienię. Zrozumiesz to później.

— Chcesz mnie opuścić, Kaziu? — zapytałem zdławionym od bólu głosem. — Dlaczego? Czy otrzymałeś jaką smutną wiadomość? Dlaczego wyrażasz się tak niejasno?

— Zgadłeś. Ujrzałem dzisiaj we śnie znowu rozwalony dom, a w jednej z jego czeluści postać osoby bardzo mi bliskiej. Oto wszystko. Żegnaj, Romku!

Rzuciliśmy się sobie w ramiona na długą, długą chwilę. Za godzinę byłem już u siebie i targany burzą sprzecznych uczuć wydawałem instrukcje jak automat.

Tej nocy nie zmrzyłem oka, niespokojnie przechadzając się po peronie. Nad ranem, nie mogąc znieść dłużej niepewności, zatelefonowałem do Szczytnisk. Odpowiedział natychmiast, dziękując serdecznie za troskliwość. Głos jego spokojny i pewny, treść słów pogodna, niemal żartobliwa, podziały kojąco; odetchnąłem.

Czwartek i piątek upłynęły spokojnie. Co parę godzin porozumiewałem się z Josztem telefonicznie, za każdym razem otrzymując odpowiedź uspokajającą: nie zaszło nic ważnego. Podobnie rzecz się miała w sobotę w ciągu dnia.

Zacząłem odzyskiwać zachwianą równowagę i udając się na spoczynek koło dziewiętej wieczór w lokalu służbowym, zwymyślałem go przez tubę telefonu od puszczyków, kruków itp. złowieszczych stworzeń, które same nie mogąc znaleźć spokoju, innym go

⁸*mare tenebrarum* (łac.) — morze ciemności. [przypis edytorski]

zamającą. Przyjął wyrzuty w pokorze i życzył mi dobrej nocy. Jakoż wkrótce zasnąłem twardo.

Spałem godzin parę. Nagle wśród najgłębszego snu usłyszałem nerwowe dzwonięcie. Na pół przytomny zerwałem się z otomany, zasłaniając oczy przed rażącym światłem gazu w lampie. Dzwonek wzywał powtórnie, podbiegłem do aparatu, przykładając ucho do receptora.

Mówił Joszt urywanym głosem:

— Wybacz... że ci przerywam sen... Wyjątkowo muszę puścić dziś wcześniej... towarowy nr 21... Trochę mi nieswojo... Odejdzie za pół godziny... wydaj odpowiedni sygn... Ha!...

Błonka, wydawszy parę chrapliwych tonów, nagle przestała drgać.

Nadśluchowałem z tętniącym głośno sercem, czy czegoś nie usłyszę, lecz daremno. Z tamtego końca drutu szło ku mnie głuche milczenie nocy.

Wtedy zacząłem sam mówić. Pochyłony ku otworowi aparatu rzucałem w przestrzeń słowa niecierpliwe, wyrazy bólu... Odpowiadała kamienna cisza. — Wreszcie zataczając się jak pijany na nogach, odszedłem w głąb pokoju.

Wyciągnąłem zegarek i spojrzałem na tarczę; było 10 minut po dwunastej w nocy. Odruchowo porównałem czas ze zegarem ściennym nad biurkiem. Rzecz dziwna! Zegar stał. Znieruchomiałe indeksy⁹ zasunięte jeden na drugi znaczyły godzinę dwunastą; zegar stacyjny przestał chodzić od dziesięciu minut, tj. od chwili gwałtownego urwania rozmowy! Zimny dreszcz wstrząsnął mym ciałem.

Stanąłem bezradny w środku pokoju, nie wiedząc, dokąd się zwrócić, co począć. W jakiejś chwili chciałem wsiąść na dreźnę i popędzić co sił do Szczytnisk. Lecz w porę wstrzymałem się. Nie mogłem teraz opuszczać stacji; asystenta nie było, służba pospana, a nadzwyczajny pociąg towarowy mógł lada chwila zajechać przed peron. Bezpieczeństwo Krępacza spoczywało wyłącznie na moich barkach. Nie pozostawało nic innego, jak czekać.

Więc czekałem, jak ranny zwierz rzucając się z kąta w kąt pokoju; czekałem z zaciśniętymi ustami, co chwila wychodząc na peron i nadśluchojąc sygnałów. Wszystko na próżno; nic nie zapowiadało przybycia pociągu. Więc znów wróciłem do biura, by okrążywszy parę razy pokój, ponowić próbę z telefonem. Bezskutecznie; nikt nie odpowiadał.

W dużej stacyjnej sali oświetlonej oslepiająco białym światłem gazu uczulem się nagle ogromnie samotny. Jakiś lęk dziwny, nieokreślony ujął mię w drapieżne pazury i trząśnął, że zacząłem dygotać jak w febrze.

Usiadłem znużony na otomanie i ukryłem twarz w dłonie. Bałem się patrzeć przed siebie, by nie spotkać czarnych palców zegara, wskazujących niezmiennie godzinę północy — jak dziecko bałem się spojrzeć otwarcie dokoła, by nie zobaczyć czegoś strasznego, co krew ścina lodem. Tak minęły dwie godziny.

Nagle drgnąłem. Grały dzwonki telegrafu. Poskoczyłem do stołu, gorączkowo puszczając w ruch przyrząd odbiorczy.

Z bloczku powoli jęło¹⁰ się wysnuwać długie, białe pasemko. Nachylony nad zielonym prostokątem sukna, ująłem w rękę pelżającą wstążkę i szukałem znaków. Lecz rulon był nie zapisany; ani śladu rylca. Czekałem z wytężonym wzrokiem, śledząc ruch taśmy...

Nareszcie pojawiły się pierwsze słowa w długich, minutowych odstępach, wyrazy ciemne jak zagadka, złożone z trudem wielkim i wysiłkiem, ręką drżącą i niepewną...

„...Chaos... mroczno... bezład snu... daleko... szary... świt... och!... jak ciężko!... jak ciężko... wyzwolić się... wstręt! wstręt!... szara masa... gęsta... cuchnąca... nareszcie... oderwałem się... Jestem...”

Po ostatnim słowie nastąpiła dłuższa, paruminutowa przerwa; lecz papier snuł się dalej leniwą fałą. I znów pojawiły się znaki — teraz już pewniej stawiane, śmielsze:

„...*Jestem! Jestem! Jestem!*” On... mój kształt leży tam... na sofie... zimny, brr... rozpada się powoli... od wnętrza... Obojętny mi już... Przychodzą jakieś fale... duże, jasne fale... wir!... Czujesz ten ogromny wir!... Nie! Ty

⁹indeks — tu: wskazówka. [przypis edytorski]

¹⁰jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

go czuć nie możesz... I wszystko przede mną obecne... wszystko teraz... Cudowny oddech!... Porywa mnie!... z sobą!... porwał!... Idę już, idę... Żegnaj... Rom..."

Depesza nagle urwała się; aparat stanął. Wtedy prawdopodobnie zachwiałem się i upadłem na posadzkę. Tak przynajmniej utrzymywał asystent przybyły koło trzeciej nad ranem; wszedłszy do biura, zastał mnie bez pamięci na ziemi z ręką owiniętą szarfami papieru.

Oprzytomniawszy, zapytałem o pociąg towarowy. Nie przybył. Wtedy bez wahania wsiadłem na drezynę i wśród pierzchających mroków puściłem motor w stronę Szczytnisk. Po półgodzinnej jeździe byłem na miejscu.

Zaraz u wstępu spostrzegłem, że zaszło coś niezwykłego. Zwykle spokojną i samotną stację zalegał tłum ludzi cisnących się do lokalu służbowego.

Gwałtownie rozpychając gawieź, utorowałem sobie drogę do wnętrza. Tu zobaczyłem paru mężczyzn pochylonych nad sofą, na której leżał z przymkniętymi oczyma Joszt.

Odrąciłem jednego i przypadłem do przyjaciela, chwytając go za rękę. Lecz ręka Joszta zimna i sztywna jak marmur wysunęła się z mojej i opadła bezwładnie poza brzeg posłania. Na twarzy ściętej mrozem śmierci, w wichurze bujnych, popielatych włosów rozlany był cichy, błogi uśmiech...

— Udar serca — wytłumaczył stojący obok lekarz. — Dziś o północy.

Uczulem ostry, kłujący ból w lewej piersi. Odruchowo podniosłem oczy na zegar ścienny nad sofą. — I on stanął w tragicznej chwili, i on wskazywał dwunastą.

Usiadłem na sofie przy zmarłym.

— Czy zaraz stracił przytomność? — zwróciłem się do lekarza.

— Na miejscu, *śmierć nastąpiła równo o dwunastej w nocy* w chwili nadawania depeszy przez telefon. Gdy dziesięć minut po północy przybyłem zawezwany przez droźnika, pan naczelnik już nie żył.

— Czy kto telegrafował do mnie *między drugą a trzecią*? — zapytałem wpatrzony w twarz Joszta.

Obecni spojrzeli po sobie zdumieni.

— Nie — odpowiedział asystent — to wykluczone. Wszedłem do tego pokoju koło pierwszej, by objąć funkcje po zmarłym, i odtąd nie opuściłem lokalu służbowego ani na chwilę. Nie, panie naczelniku — ani ja, ani nikt inny ze służby tej nocy nie używał telegraficznego aparatu.

— A jednak — rzekłem półgłosem — dziś w nocy *między drugą a trzecią* odebrałem depeszę ze Szczytnisk.

Zapadło głuche, kamienne milczenie.

Jakaś słaba, niedołężna myśl przebierała się z trudem do świadomości...

— List!

Sięgnąłem do kieszeni, rozdarłem kopertę. — Był przeznaczony dla mnie. Oto, co pisał Joszt:

„*Ultima Thule, 13 lipca.*

Drogi Romku!

Mam zginąć wkrótce, nagle. Człowiekiem, którego dziś we śnie widziałem w jednym z okien rudery, byłem ja sam. Może niebawem spełnię swą misję, a ciebie wybiorę na pośrednika. Opowiesz ludziom, dasz świadectwo prawdzie. Może uwierzą, że jest świat inny... Jeśli zdołam. — Żegnaj! Nie! Do widzenia — kiedyś po tamtej stronie...

Kazimierz”

List, Proroctwo

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-ultima-thule>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Utwory wybrane*, Tom I: *Nowele*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.